

Jerzy Nowosielski ...

dokończenie ze str. 5

wchodząc do budynku ASP, spotkałem wychodzącego Nowosielskiego. „Wie pan – powiedział mi – byłem w pracowni: tak tam mało było studentów, a ja tak dużo chciałem im powiedzieć”.

W głosie usłyszałem żal i irytację. Ale przecież było i bardzo wielu, którzy w swych notach biograficznych z prawdziwą dumą odnotowują studia w pracowni Jerzego Nowosielskiego. Odbierając w imieniu Jerzego Nowosielskiego dyplom honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego – w okresie Jubileuszu 600-lecia odnowienia Akademii Krakowskiej – uświadamiałem sobie kolejny raz miejsce tego artysty w polskiej sztuce, ale i polskiej tradycji eklezjastycznej, wreszcie w wielkiej tradycji naszego szkolnictwa artystycznego. Kiedy przekazywałem Jerzemu Nowosielskiemu wspomniany dyplom, przypomniałem, że jest drugim po Janie Matejce malarzem obdarowanym przez Uniwersytet Jagielloński honorowym doktoratem. Sądzę, że obok autora *Rejtana* i *Hołdu pruskiego* – twórcą *Villi dei misterii* – w pełni zasłużył na to wyróżnienie swą sztuką, ale i przesłaniem nauczyciela i teologa. W tekście Mieczysława Porębskiego przeczytałem: „Gdy padają tradycje, trzeba sięgać do źródeł – jeżeli jest to możliwe. Dla Nowosielskiego było to możliwe”.

W jego krakowskim mieszkaniu, w niedużym pokoju – pracowni stoją oparte o ścianę obrazy. Może martwe natury, może akt, czy veraikon. Tyle wokół nas zmieniło się nieodwracalnie. Jerzy Nowosielski, żyjąc intensywnie, ucząc, pisząc, realizując polichromie, malując obrazy – w istocie pozostał ten sam. Taki sam. Zaskoczył mnie kiedyś, gdy w czasie posiedzenia w Akademii zapytał, czy jeszcze teraz jest sens jeździć ze studentami na plener? Czy to potrzebne w doświadczeniu współczesnego artysty? Odpowiedziałem wtedy, że ze wspomnień jego kolegów wiem, że i on jeździł przecież na plener – na Harendę. Z tym jednak, że nie malował wtedy tatrzańskie krajobrazy, tylko morze i nieduże stateczki. Czy w pytaniu Nowosielskiego więcej było przekory, czy może niepokój o wewnętrzny świat i wyobraźnię młodych malarzy...? Czy w oszałamiającym się świecie Jerzy Nowosielski jest naprawdę taki sam? Czy patrząc na „padające tradycje”, odszukując dla siebie bizantyjski azyl – trwa nieugięty w swym malarskim świecie?

Powierzchniowo patrząc na jego malarstwo, można by powiedzieć, że odszukując w czasach zamętu duchowe skupienie malarstwa bizantyjskiego, gwarantuje sobie luksus niezmienności koloru, gestów postaci i krajobrazów ożywionych kaskadami gór. A przecież wystarczy porównać ukrzyżowania na ikonach nowogrodzkich czy włodzimierzowskich, na których Chrystus mimo męki i śmierci jest zwyciężcą, i zestawzić je z Drogą Krzyżową Nowosielskiego w kościele na krakowskich Azorach. Tu przy zachowaniu rytmu czy koloru mogącego przypominać ikonę, przy zastosowaniu podobnych układów kompozycyjnych czy rozbłyskujących na brunatnych postaciach światła – jesteśmy świadkami egzekucji. Jesteśmy świadkami interpretacji odwiecznego motywu w malarstwie religijnym, ale wiemy, że teksty ewangeliczne przeczytał i namalował człowiek, który przed laty na ulicach swego miasta mógł być świadkiem łapanki czy masowego rozstrzelania.

W mym przekonaniu w malarstwie Jerzego Nowosielskiego dochodzi do tajemniczej w istocie syntezy odczuwania i myślenia Wschodu i Zachodu. Jeżeli by porównać twórczość Nowosielskiego do ikonostasu, to musimy pamiętać, że dla ludzi Zachodu ikonostas jest zjawiskiem estetycznym, jest kolekcją obrazów o ukrytej

treści, otoczonych bogatą rzeźbą ram. Nieznający prawosławia i teologicznego sensu ikonostasu, patrzą nań jak na szeregi zamalowanych desek lub płócien emanujących zawartą w bizantyjskim kanonie harmonią. Czyż nie podobnie Zachód odczytał *Doktora Żiwago* Borysa Pasternaka? Ośnieżone pola i kiczowate budowle mające przypominać rosyjską architekturę, rozlewna melodia i romans z naiwnym morałem. Cała wewnętrzna tajemnica powieści, jej wyraz i towarzyszące wiersze, płątna na losów ludzi i degradująca siła nieszczęsnej rewolucji – tylko tyle. Tylko zewnętrzność i zaledwie naskórek. W ikonostacie Nowosielskiego są górskie krajobrazy poruszone niemal impresyjnym rozedraniem, są ulice i piękne kobiety, jest świat niezwykłych wewnątrz i pozostających ze sobą w pełnym prostoty sąsiedztwie kuchennych naczyń, zestawionych w martwych naturach. Jest ikonostas Nowosielskiego pełen obrazów abstrakcyjnych. Ale ich kompozycja i kolor, zderzające się linie i płaszczyzny, błękity i cynobry, zielenie i żółcie – to skupione medytacje podobne tym, w których pojawiają się postaci i przestrzenie pejzażu. Wielcy teoretycy prawosławia: Eugeniusz Trubecki czy Paweł Florenski sugerują w swych pismach, aby formy ikon nie odczytywać dosłownie. By dostrzec w nich także potężne poruszenie ducha. Ikonostas Nowosielskiego łączy więc w sobie malarstwo przedstawiające (świadom jestem bezradności tego określenia), ale i abstrakcyjne, łączy akty, o których sam malarz mówił, że są „zrealizowaną malarsko fizyczną postacią człowieka”, ale i przejmujące malarstwo religijne, także wielkie polichromie. Sam artysta zaznacza wyraźnie, że „Sztuka to działanie duchowe”, a co za tym idzie, że sztuka w całości, niejako z natury swej, jest obszarem sacrum. Z takim sformułowaniem można zgodzić się lub nie. Nie ulega jednak wątpliwości, że malarstwo Nowosielskiego jest od dziesięcioleci ponawianym trudem, by ukazać Niewidzialne. By w twórczym przeczuciu zbliżyć się do rzeczywistości nadprzyrodzonej, by w procesie twórczym uświęcić rzeczywistość widzialną. Tym samym uczynić ją trwalszą, bardziej wyrazistą i mocną. W ikonostacie Nowosielskiego jest więc i połyskujący w słońcu szereg kopuł cerkiewnych, ale są tramwaje jadące długimi, wznoszącymi się ulicami. Jest cielesność kobiet na plaży i hieratyczność postaci świętych, jest Ukrzyżowany Chrystus i dobry łotr, któremu umierający Jezus obiecał raj jeszcze tego samego dnia.

Czy więc w ikonostacie Nowosielskiego jest całe życie? Na pewno jest tam olśnienie i nadzieja płynąca z wiary, jest miejsce na piękno świata, jest miejsce na geometryczną rzeczywistość trójkątów, kół i kwadratów. Jest też miejsce na grzech i na miłosierdzie. W tym malarstwie spotyka się więc to, co wydaje się, że spotkać się nie może. Mam tu na myśli obrazy powstałe z zachwyty nad geometrią, ale i te, które rodzą się żywiołowo, gdy olśnienie jest silniejsze od reguł. Obrazy powstałe z niepokoju i gorczy, ale i z niezachwianej wiary w spotkanie człowieka z Bogiem. Przypominam sobie raz jeszcze surowość Drogi Krzyżowej, ale i monumentalną różowo-oranżową *Villę dei misterii*. Nie ma w tym ikonostacie obrazów ani spraw nieważnych, mniej ważnych czy drugoplanowych. Ważny jest każdy dzień w życiu i każdy obraz. Ta pełna wewnętrznej siły jedność widzenia pozwala myśleć o Nowosielskim jako malarzu, na którym przełom stulecia, schyłek i nadejście epok nie robi większego wrażenia. Po cichu myślę, że gdyby malującemu Nowosielskiemu przekazano wiadomość, że zaraz będzie koniec świata – malowałby dalej.

(2002)

STANISŁAW RODZIŃSKI